

Stanisław Dąbrowski

Błędy i uroszczenia teorii "maszyn dialogowych"

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (31), 132-146

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

C. Magris: *Lontano da dove*. Torino 1971.

C. Magris: *Die rasenden Elektronen*. „Musil-Forum” 1975 nr 2, s. 78—89.

S. Weil: *L'Enracinement. Prélude a une déclaration des devoirs envers l'être humain*. Paris 1949.

F. Ebner: *Fragmente. Aufsätze. Aphorismen. Zu einer Pneumatologie* des Wortes. Schriften*. T. I. München 1963.

Błędy i uroszczenia teorii „maszyn dialogowych”

1. Uwagi wstępne

Morał nie jest częścią porządknej nauki¹. Ale przecież nie morałem, lecz elementarnym wymogiem jest postulat logicznego porządkowania naszych pojęć, sądów i rozumowań. Wykroczenie poza stereotyp normy logicznej musi być dla badacza wejściem w stereotyp szarlataństw kuglarza, który „ludziom tuman w oczy puszcza”². Przystępując do krytyki artykułu Wincentego Grajewskiego (dalej: WG)³, zastrzegam, iż czym innym jest wola zrozumienia różnych stanowisk, zwłaszcza dalekich od naszego, a czym innym tolerancja dla formalnej niepoprawności, szczególnie silnie obciążającej ten właśnie artykuł, mający skądinąd swoje miśterności i uroki. Ani wąskie, klasyczne rozumienie logiki formalnej, ani jej rozumienie szerokie (jako pewnego uszczegółowienia nauki o dobrej robocie⁴) nie pozwalają na akceptację wywodów WG. „Nie ma wstydu bez dialogu” (75), lecz chodzi tu nie o wstyd, tylko o to, iż wadliwa teoria obala samą siebie: wadliwość należy ujawnić. Jeśli demontować można tylko to, co było zmontowane, to moja krytyka może tylko dementować. Powtórzę za Pascalem: „wydaje mi się, że nigdy nie będzie nadto owej dbałości o ścisłość, której obronie — bardziej aniżeli właściwej materii — poświęcona jest niniejsza rozprawa”⁵. Spotyka się niekiedy opinię, że esejowi (a jest nim artykuł WG) przysługuje gatunkowo pewna „luźność”, „wolność”. Czy także logiczna? Jeśli tak, to opisuję po prostu jego gatunkowe licencje. Jeśli nie, to opisuję niedostatki tego eseju. Ale on wyraźnie pretenduje do teoretycznoliterackości. Zresztą: „Wolność w pełni rozkwita pod strażą rozumu” (T. Kotarbiński).

¹ G. Ryle: *Dylematy filozoficzne*. W: M. Hempoliński: *Brytyjska filozofia analityczna*. Warszawa 1974, s. 213.

² Zob. D. Ratajczakowa: *Szarlatan i teatr*. „Teksty” 1976 nr 2, s. 31.

³ W. Grajewski: *Maszyny dialogowe*. „Teksty” 1976 nr 2. Niemianowana liczba w nawiasie odsyła do stronicy tego artykułu.

⁴ M. Jaworski: *Tadeusz Kotarbiński*. Warszawa 1971, s. 117—118.

⁵ B. Pascal: *O geometrycznym sposobie myślenia*. Cyt. za: T. Płużański: *Pascal*. Warszawa 1974, s. 195.

Polemizuję z WG (a nie z Deleuze'em i nie z Meleucem), z jego próbą podtrzymywania i rozwijania poglądów owych autorów, a poglądy te rozpatruję nie genetycznie, lecz — merytorycznie. Każde z moich zastrzeżeń podważa nie tylko jakąś opinię szczegółową, lecz także — wykruszając ogniwa wywodu — sam wywód. Ocena wynikająca z mojej krytyki jest niemal zupełnie negatywna. Nie jest jednak negatywna intencja krytyki. *Bonum est perfectivum*. Krytyka jest tym bardziej celowa, iż określono artykuł jako szkicowy „wstęp do pracy”, której projekt jest jeszcze „nader ogólny” (81).

2. Poetyzmy teoretycznoliterackie

Niemal wszystkie braki artykułu wynikają ze sprzecznej wewnętrznie tendencji do „identyfikacji lub, przynajmniej, zbliżenia” (77) momentu teoretycznego z „poetyckim”. Teoria koniecznie wymaga logicznej poprawności, której ani nie chce, ani nie potrafi przestrzegać intencja poetycka⁶. Piód nienaturalnego związku jest teratologiczny. Upodobanie w efektywności literackiej tekstu sprzymierza się z jego logicznym bezładem. Styl myślenia WG jest oczywiście uczestnictwem w pewnym *typie* myślenia. Tekst o ambicjach teoretycznoliterackich, mówiąc o liryce, sam przeobraża się w lirykę, nie różniąc się od niej charakterem organizacji semantycznej (84). Autora ponosi słowo: czasem bywa to pięknoślowie, czasem battologia. Mówi się „maszyna dialogowa”, a czasem starczyłoby: „dialog”. Mówi się: „Maszyna dialogowa aforyzmu pracuje na kontrastach stylistycznych” (81), a chodzi o to, że aforyzm opiera się strukturalnie na kontraście stylistycznym. Mówi się: „maszyna dialogowa zamykająca dialog” (74), a chodzi o wypowiedź zamykającą rozmowę. Prace naukowe należy pisać rzeczowo, bez — jak mawiał T. T. Jeż — „fryzowania frazesów w czubki”. Metaforyka WG jest nie tylko sztuczna. Także niekonsekwentna. Mówi się o tekście-maszynie, ale i o życiu tekstu (70). Nadużywa się hipostazujących wyrażen: 1) kiedy sytuacja użycia przysłowia koliduje z treścią przysłowia, WG mówi, że to sama maszyna do-

⁶ Jaworski: op. cit., s. 96 (słowa Henryka Hiża). Wiele sztuczności tekstu WG wynika zapewne (pochodnie) albo z mechanicznego kalkowania, albo z bezprzykładowego przyswajania słów i wyrażen francuskich, i to przejętych z prac pisanych w sposób, który w nauce jest sposobem pretensjonalnym, a czasem wręcz niedopuszczalnym. Zresztą takie słowa, jak „dialog”, „dewiacja”, „negacja”, „kamuflaż”, „redystrybucja”, „demontaż”, „rutyna”, „ekwiwalent”, „mediator”, „dyskurs” itd., których WG używa tylokrotnie, mógłby (bodaj niekiedy) zastąpić po prostu polskimi odpowiednikami. Odciażyłoby to tekst ze sztuczności, czasem aż groteskowej („konsumpcja przedmiotów artystycznych”, 85), a przy sposobności skłoniło do większej samokontroli myślowej. Znamienne, że tam, gdzie WG wyraził się w sposób w naukowym języku przyjęty, a przy tym często po polsku, ma wrażenie, że się wyraził „nieładnie” (84); zob. też: H. Rosnerowa: *Jedność filozofii i wielość języków. O filozoficznym przekładzie i jego funkcji poznawczej*. Warszawa 1975, s. 16, 20, 22, 24, 29—30, 59, 71—72, 128, 152.

konała autodestrukcji ze wstydu (75); 2) kiedy WG zanalizuje problem przysłowia, powiada, że to ono dokonało autoanalizy, że to było jego funkcjonowanie. Jest to illogizm typowo scholastyczny, bo scholastyk łańcuch nazywa przyczyną uwiązania psa, a twórczością bierną to, że się jest stworzonym. Florydacyzm wiedzie do „teatru słowa” (84): czynność nalewania zostaje określona jako spektakl, logiczne warunki i implikacje tej czynności stają się aktorami grającymi role (71); mówi się o „geście maksy” (79); są „sprawy, o których język nie pamięta” (82). Rzeczowość ustępuje stylistycznej widowiskowości.

3. Luźne przykłady błędów logicznych i rzeczowych nieporozumień

Mechano-hipostaza tekstu-maszyny ma wadliwą logicznie charakterystykę: „Tekst jest maszyną” (69), czyli: $T = M$; oraz: „tekst jest uruchomieniem maszyny” (79), czyli: $T = U_m$; z tego wynika, że uruchomienie maszyny samo jest maszyną. Przykłady definicji dworności obciążone są błędem tautologii (*circulus in definiendo*) oraz błędem użycia synonimu jako współokreślnika (78). Stosunek między naczyniem a jego użytkownikiem nie jest żadną metonimią (zamiennią), chociaż jest przyległością (71). Zamiennia opiera się na przyległości, ale nią nie jest; podobnie jak współpraca może się opierać na życzliwości lub wyrachowaniu, ale nie jest ni jednym, ni drugim. Demontaż maszyny nie jest przykładem jej funkcjonowania, choć może funkcjonowanie tłumaczyć (73); przecież rozebranie zegarka nie jest przykładem jego funkcjonowania. WG nie potrzebuje przypuszczać, że typ tekstu wyznacza pewien typ swego odbioru, a więc i pewien schemat odbiorcy (78). Stwierdzono to wcześniej, na różne sposoby, bez maszyn dialogowych.

Nie ma — logicznie biorąc — opozycji między cechą a pragnieniem jej posiadania, ani między działaniem a doznawaniem (79). Nalewanie nazywa WG raz synonimem dawania, a raz uszczegółowieniem dawania (72), choć synonim jest na tym samym poziomie ogólności co słowo podstawowe, a słowo-uszczegółowienie na niższym. Pozornym rozwijaniem wątku myślowego jest np. odróżnianie: 1) „rutynowego” przeznaczenia przysłowia do „użycia w dialogowej rozgrywce” i 2) tego, że natura przysłowia „zakłada konfrontację z przypadkami mowy” (77). Twierdę, że pierwsze jest tożsame z drugim, ale WG umieścił między nimi emfatyczne „co więcej”. WG raz twierdzi, że sztuczną sytuację odpowiedzi na nie zadane pytanie stwarza (może raczej: zakłada) proces *lektury* tekstu pisanego (77-78), a raz znów, że sytuację tę stwarza (zakłada!) *gatunek* literacki opowiadania (82). I nie tylko się do tej podwójności własnej opinii nie ustosunkował, ale jej w ogóle nie zauważa; tak jak nie

zauważa nietożsamości formuł „nie mieć i potem... nie mieć” oraz „nie mieć i dawać” (72) albo nietożsamości „łączenia” i „inkluzji” (81), „negacji” i „dewiacji” (72).

Odkrycie — jak się wyraża WG — szczeliny między słowem a rzeczą to nie odkrycie „wewnątrzsłownego dialogu” (84). Nieprawda, że „kompetencja poprzedza próby jej naruszenia” (78), bo narusza ją przede wszystkim niekompetencja. Czyż kompetencja logiczna poprzedza próby nielogiczności? Nieprawda, że frazeologizm „płacić za złudzenia” jest równie nieskomplikowany, co frazeologizm „robić dobry interes” (81). W tym samym ciągu zdań mówi WG, że między normą a anomią przysłowie dokonuje: 1) przeciwstawienia, 2) utożsamienia, 3) zbliżenia (76-77). Trudno tu mówić o precyzji pomysłu interpretacyjnego, ale rozumiemy już, dlaczego WG gotów jest przyjąć jednoczesną słuszność wykluczających się „wyobrażeń” teoretycznych (70). Raz się mówi o zmagazynowaniu historii dialogowej (70), to znów o zmagazynowaniu kontrowersji (76). Raz się mówi, że formuła przysłowia przekształca się w zdarzenie dialogowe (70), stając się nim, a raz: że nadaje formę zdarzeniu przez siebie wyprodukowanemu (71), różniąc się odeń.

Językoznawstwo przez leksykalizację rozumie proces historyczno-językowy, prowadzący do zatarcia struktury wyrazu, stającego się w ten sposób jednolitym, nieanalitycznym znakiem desygnatu. Wtedy „przerazić” (dawny sens: przeniknąć) traci związek semantyczny z „razić”; wtedy stają się możliwe wyrażenia: „złota stalówka”, „kolorowa bielizna”. Sens realny góruje nad etymologicznym⁷. Tymczasem WG przez leksykalizację rozumie, jak się zdaje, łącznie i sam fakt opatrzenia nazwą określającą, i wypełnienie schematu zdaniowego (72, 79), chociaż są to sprawy zupełnie różne. Nieprawda, że szczelinę między słowem a rzeczą ujawnia dopiero wypowiedzenie „poetyckiego” słowa („róża”). Teoria znaku nie uznaje takich lirycznych wyróżnień. Przejście od „być” do „chcieć” nie jest zmianą „kategorii trybu” (79). W zdaniu „X nalewa z próżnego” gramatyczność bynajmniej nie jest powierzchna (72). Nazwanie wyrazu przeczącego „nie” morfemem nie jest (jeśli wywód rozumiem) „leksykalizacją” udaną.

I wreszcie o dowolnościach „nalewania”. Nieprawda, że wykluczenie tego, komu nalewam, zamienia nalewanie w przelewanie. Mogę nalać wody do beczki, nie robiąc tego „komuś”. Sensy potoczne tych słów są szersze, niż utrzymuje WG. Nieprawda, że o rozlewaniu mówi się tylko wtedy, kiedy nie ma „w co” lać. Mówi się przecież poprawnie o rozlewaniu płynu z beczki do butelek (stąd rozlewania). Kiedy brak tego, co się nalewa, obraz nie traci dynamiki, tylko sens słowa ulega paradoksalizacji, czego zresztą dowodzi samo rozpatrywane przysłowie o Salomonie (a zwłaszcza ten hipotetyczny wariant „nalewać z próżnego”). Nieprawda, że „nalewać” jest uszczegółowieniem „dawać”. „Nalewać” jest raczej uszczegółowio-

⁷ Zob. W. Doroszewski: *Z zagadnień leksykografii polskiej*. Warszawa 1954, rozdz. II.

nym „napełniać” (jako napełniać płynem), a uszczegółowionym „dawać” byłoby raczej np. „obdarowywać” (jako dawać w pewien szczególny sposób). Brakuje dostatecznej motywacji przejścia od „nalewać” do „dawać” i od „dawać” do „mieć” (posiadać). Cała problematyka dotycząca „mieć” jest dezorientującą amplifikacją. W nalewaniu zbędne jest wprowadzanie kwestii „własnościowych”, bo chodzi przecież o *czynność* oraz o sposób i warunki jej wykonania. Wreszcie nieprawda, że rdzeniem treściowym i swoistością dawania jest „najpierw mieć, a potem nie mieć”. Przecież taki sam rdzeń tkwi w czasownikach „gubić”, „tracić” (71-72).

4. Iluzja autorska

Raczej retoryczna amplifikacja niż rzeczowość dyktuje WG słowa: „Także dzisiaj nie jesteśmy wolni od przesądnego lęku przed poruszeniem martwej litery” tekstu, który „trwa w pamięci, nie analizowany (?), niezniszczalny” (70). Propozycja WG ma właśnie od przesądu wyzwalać, a nadto przywłaszcza sobie analityzm. Bezasadność tego uroszczenia wykazują już przez to, że — nie przyjmując tej propozycji i traktując esej WG jako przykład „śmierci, która się przydarzyła mowie” (69) — dokonuje jego analizy.

WG sądzi, że odrywa się od rozumienia tekstu jako struktury („całości złożonej”) i przechodzi ku rozumieniu tekstu jako urządzenia tnącego potok mowy, ale złudzeniu temu zaprzecza jego własny artykuł, nie będący przecież niczym innym jak analizą „kawałków zastygłego procesu mowy” (69): przysłowia, maksymy itd. Gdzie WG twierdzi, że bada „życie tekstu”, bada tylko sposoby *użycia* tekstu, bo nie ma dialogu np. przysłowia „z ludźmi” (73), a jest tylko ludzkie używanie przysłowia. WG sam powiedział (już bez żadnego konceptu terminologicznego), że „przy pomocy przysłów się rozmawia” (77). Językowe, kulturowe (więc społeczne) „życie” tekstu wcale się nie „mieści” w umyśle autora i w duszach czytelników, lecz w międzypodmiotowych odniesieniach. Tak tę sprawę traktowała już (należąca dziś do tradycji) antypozytywistyczna refleksja humanistyczna, a nie dopiero WG (70). Znają dobrze tę sprawę folklorystyka, komparatystyka i — paremiografia. Nie ma nic zaskakującego w tym, że próba odrzucenia *wszystkich* tradycyjnych wyobrażeń o tekście (70) — jako niewykonalna — nie tylko nie została wykonana, ale nawet nie została podjęta. Przecież „przewaga frazesów nad oryginalnymi sformułowaniami (...) tkwi w samej naturze informacji”⁸.

Mówienie o tekstach-maszynach jest cudactwem, którego z Kartezjuszowskim mówieniem o zwierzęciu-mechanizmie albo z La Mettrie'go mówieniem o człowieku-maszynie nie warto w ogóle zesta-

⁸ N. Wiener: *Cybernetyka a społeczeństwo*. Tłum. O. Wojtasiewicz. Wyd. IL. Warszawa 1961, s. 131.

wiać. Mniej pretensjonalne byłoby mówienie o „mechanizmie” funkcjonowania przysłowia czy aforyzmu. Zresztą chodzi WG w istocie o schemat, regułę, prawidłowość, stereotyp, czasem o formułę. Sztuczna terminologia dokonuje pseudoreizacji momentu formalnego (74). WG zbyt szablonowo rozumie problem szablonu i tę szablonowość rozumienia szablonu przekracza dopiero w masce innowacji terminologicznej, *mutato nomine*. Efektowność artykułu WG polega m. in. na pewnym niedomówieniu. Grą ogólnej *normy* językowej i indywidualizującego piętna konkretnego zdania — banał językoznawczy — jest *każda* próba wypowiedzi językowej. Każda wypowiedź „dialogowo wskazuje na język” (77). W każdej trwa napięcie momentu ogólnego i szczególnego. Zresztą partnerem języka (systemu) jest raczej podmiot mówiący, a nie wypowiedź, która jest z kolei wynikiem owej partnerskiej „gry”. Napięcie wytwarza kategoriałna inności momentów, a nie „lekceważenie” (73). Czyż dla WG nie jest „maszyną” jego własny esej? Termin nie realizujący funkcji dystynktywnej nie zasługuje na wprowadzenie.

WG sądzi, że wykroczył poza problematykę genologiczną i rozwija problematykę do tamtej równoległą, ale inną, nową (82). Wierzy, iż dokonał „dialogowej typologii form prostych” (82) maszyny dialogowej. W istocie próba WG nie przestaje być refleksją genologiczną nastawioną na zjawisko „pokrewieństw” międzygatunkowych, przy czym typy przykładów *użyć* zarówno przysłowia, jak i maksymy są tak rozbieżne, że nie wynika z nich żadna charakterystyka genologiczna. Mówić można albo o tekstach konkretnych, albo o ich typach, a więc idiografizująco albo genologizująco. I WG nie tylko że poza tę alternatywę nie wychodzi, ale — co gorsza — niedostatecznie rozgranicza oba porządki mówienia. I nadto lekko zapewnia o braku istotnych różnic między problematyką genologiczną a stylistyczną (82).

5. Przysłowie

Licząc się z przyjętym sensem terminów „orzeczenie” i „podmiot”, nie należy (jeśli się chce uniknąć nieprecyzyjności poetyzmu) mówić za Potiebnją, że „przysłowie jest stałym orzecznikiem dla zmiennych podmiotów” (73), bo jest ono stereotypowym komentarzem do stereotypowych sytuacji (77). A jeśli nawet komentuje sytuację różną od stereotypowej, to jednak ów stereotyp sytuacyjny jest implikacją warunkującą czytelność użyć niestereotypowych: podkreśla i ogranicza ich oryginalność. Przysłowie nie jest „maszyną, która produkuje nowe zdarzenie”, lecz jest tekstem, który *ulega* sytuacyjnej funkcjonalizacji lub refunkcjonalizacji. On nie „nadaje formy zdarzeniu”, lecz sam jest przez nie semantycznie i funkcyjnie formowany. Z początkowych wywodów WG można było wnosić, że doprawdy odtwarza on strukturę i funkcje przysłowia jako gry użytkowników języka z systemem językowym i z sytuacją. Ten sens WG niemal zupełnie (a zbędnie) wy-

kluczał, uznając wywody za własną tylko grę interpretacyjną, od której odróżnia „dialog z ludźmi”. Słuszności nie ma dlatego, że ten dialog to tylko *ilustracja* poprzedniego, teoretyzującego wywodu (73).

Użycie przysłów jest zawsze kontekstowe i konsytuacyjne. Przysłowie jest niejako synkategorematem kontekstu i konsytuacji, i ich stereotypowości. Kiedy kontekstem uczynimy kontrtekst, a konsytuacją — kontrsytuację (przykład z iluzjonistą, 75), wtedy przysłowie nie „umiera”, lecz właśnie „ożywa”: uwyrażnia się mocno jego adres, a także jego rzeczywista zawartość. Wtedy na przykład przysłowie o Salomonie nie niszczy samo siebie, lecz sposób jego użycia ujawnia, że emfatyka góruje w nim nad semantyką („*nawet Salomon*”). Emfaticzny superlatyw może tu być zresztą podany w wątpliwość albo rzeczywiście, albo (mamy przecież do czynienia z iluzjonistą) mistyfikacyjnie, pozornie, nieskutecznie. *Naturalne* użycie zwrotu, zgodne z jego znaczeniem i sytuacyjnym przeznaczeniem, nazywa WG użyciem „konformistycznym”, a odnośną sytuację „trywialną” (74). Można to odbierać jako preferencję nie-naturalności („poetyckości?”). Sposób mówienia stwarza domniemanie, jakoby między użyciem przysłowia do skomentowania sytuacji własnej mówiącego (pracownik stacji) a użyciem przysłowia do skomentowania sytuacji cudzej (obserwator) musiała istnieć różnica stopnia naturalności, i to na korzyść użycia pierwszego (74-75). Wbrew sugestiom, komentarz obserwatora nie musi być wcale ironiczny. Może być tylko konstatacyjny, może być współczujący itp. Sprzeczności między deklaracją a praktyką (84) są także w tekście WG. Moja analiza jest ich wykazywaniem. Jedną z tych sprzeczności jest ta między zadeklarowaną dekontekstualizacją wypowiedzi badanych (85) a konsekwentną w całym artykule praktyką kontekstualizującej interpretacji każdego przykładu. Autor nie *dokonuje*, wbrew deklaracji, „uwalniania” wypowiedzi z ram dialogu, lecz po prostu *obserwuje* różnorakie zastosowania tej samej wypowiedzi. Nie eksperymentatorem jest, lecz sprawozdawcą. A podkreślę, że terminu „dialog” używa WG w sensie mocno „dewiacyjnym”, co powoduje, że jego własne wnioski „dewiują” w sposób od autora niezależny. Staje się to ilustracją aforyzmu, że autor nie jest tą osobą, która najlepiej rozumie własne dzieło. Dodam, że na ile ja mam słuszność w swej krytyce, na tyle nie jest prawdą, że „przysłowie dosyć łatwo poddaje się interpretacji jako maszyna dialogowa” (77).

6. Negacja negacji

WG opisuje schemat przysłowia jako wynik dwukrotnej negacji i sugeruje powszechność paremiologiczną tej zasady. Postępuje zupełnie dowolnie i sofizmatycznie, wysnuwając konkluzje normatywno-genologiczne w oparciu o rozpatrzenie jed-

nego czy dwóch przykładów, i to rozpatrzenie dość szczególne. Grozi to wzięciem cechy przypadkowej za istotną (*fallacia accidentis*). I tak się też stało. Są przecież przysłowia wolne od momentu negacyjnego („Im dalej w las, tym więcej drzew”; „Mądrej głowie dość dwie słowie”). Ów kontrsemantyzm (sprzymierzony z regularnością gramatyczną) byłby znamieniem pewnej tylko podklasy przysłów, a może po prostu pewnej klasy wypowiedzi zdaniowych, do których syntaktycznie i semantycznie należałaby owa podklasa przysłów. I na przysłowiu o babie wymusza WG dwie negacje (76). Zresztą nie są one tylko stylistyczne, lecz także (przynajmniej to WG) kulturowe (77). Spójrzmy uważnie: w odniesieniu do przysłówia o babie powie WG, że tu lepiej będzie mówić o szansie stylistycznej niż o naruszaniu reguły gramatycznej — tak, jakby w przysłowiu o Salomonie istotnie szło o naruszenie właśnie reguł gramatycznych. Czyż o tym przysłowiu nie twierdził WG, że chodzi w nim o „wierność regułom języka” (73), więc i regułom gramatyki, i że to ta wierność jest nagrodzona (co za antropomorfizm!) szansą stylistyczno-ekspresywną? Zatem odmiennosc przysłów (jeśli jest) polegać musi na czymś innym, a późniejsze mówienie o funkcji medacyjnej przysłowia względem „gramatyczności” i „agramatyczności” (77) nie ma niezbędnego uzasadnienia.

WG nadużywa chyba pojęcia emfazy (a więc i patosu), skoro dopatruje się jej np. w obrazowym po prostu powiedzeniu „żyć jak pies z kotem”, a nadużywa zapewne własnego schematu komentarzowego, sądząc, że warunkiem wyjściowym tego wyrażenia musi być polemiczna intencja „podważania opinii przeciwnej” (77). WG z takim uporem szuka w każdym przysłowiu „negacji negacji”, z jakim perypatetyk szuka wszędzie złożenia z aktu i możliwości. Wyakcentowując sztucznie rzekomą dewiacyjność przysłowia, WG usiłuje prze-forsować hipotezę jego paradoksalnej genezy kontrsemantycznej.

Z przykładów wynika jasno, że ów przypisywany „maszynie dialogowej” ruch negacyjny nie jest wcale „dialogiem z językiem” (79), lecz — w języku — dialogiem z treściami kultury, co potwierdza sam WG napomknięciem o „niechęci (czyjej? — S.D.) do przyjmowania nakazów kultury” (77). I w przysłowiu, i w maksymie rzecz się dzieje w porządku kultury. Albo inaczej: nie sam tylko opór wobec kultury, lecz także zgoda z nią dzieją się *jednako* w porządku języka. Nadto: opór wobec kultury też się dzieje w ramach kultury, jako jej szczególny przejaw. Zdaniem WG istnienie par wykluczających się znaczeniowo przysłów to przejaw „niezdecydowania”, które „odzwierciedla niechęć do przyjmowania nakazów kultury, jeśli język pozwala sformułować przeciwnakaz”; przejaw dowodzący jakoby, że „dominantą dziejącego się w przysłowiu dialogu jest porządek języka” (77). W opiniach tych jest dalekie echo formalizmu rosyjskiego, ale w stopniu znacznie silniejszym panuje w nich zwykła dowolność. Naturalniej byłoby powiedzieć, że w sprzecznościach przysłów odbijają się sprzeczności ludzkiej egzystencji albo sprzeczności samej kultury. Po co stwarzać fikcyjne do-

niosłości opozycji między językiem a kulturą i między tekstem a „rutyną” oraz fikcją czysto lingwistycznej natury „mechanizmów” przysłowiowotwórczych? Przeciwnie biorąc, przysłowia bardziej na kulturę wskazują niż na język i bardziej ją wyrażają niż jej przeczą. WG mówi, że negacja tworzy pierwszy moment dialogowy (rozszczepienie na „mieć” i „nie mieć”). Podobnie powie perypatetyzujący kryteriolog, że umysł, ujmując jednocześnie byt i niebyt, przeciwstawia je sobie i wyklucza niebyt⁹. WG ludzię, że opisuje moment historyczny, bo poprzestaje tylko na wyeksponowaniu momentu relatywności myślenia, które każdemu X przypisuje jako zaprzeczenie nie-X. Wynika to ze schematu drzewa Porfiriusza, ale ograniczenie swe ma w zasadzie De Morgana głoszącej, że wszelkie rozumowanie odbywa się w obrębie założonego *summum genus*¹⁰. W „dialogowej historii” chodzić może co najwyżej o moment wcześniejszości logicznej, implikowanej przez strukturę treści przysłowia. A w dodatku należy pamiętać, że chodzić tu może tylko o pewną fikcję genezy sensu, o propozycję interpretacji struktury treści. Przyznaje to WG, wspominając o „gramatyce przysłowia” (72). Z opisu „dialogowej historii” przysłowia wynikało, że chodzi w niej o „dewiację” semantyczne słowa (70-72), ale *ex post* WG utrzymuje, że chodziło tam jakoby o „kwestię adresata” (78). Chociaż potem znów wraca do opinii, że „refleksja nad maszynami dialogowymi łączy się z poszukiwaniami semiotycznymi” (85).

A jak się *w rzeczywistości* przedstawia problem „negacji negacji”? To, co WG nazywa pierwszym i drugim momentem dialogowym, to po prostu korzystanie z możliwości zaprzeczenia *różnym* elementom struktury zdania, a także możliwości krzyżowania tych zaprzeczeń. Negacja negacji zawsze prowadzi do terminu wyjściowego, jeśli pamiętamy, by przeczenie oraz przeczenie przeczenia dotyczyło tego samego terminu. I tylko wtedy określnik „negacja negacji” użyty jest poprawnie. Tymczasem w użytych przykładzie pierwszy moment to zaprzeczenie *orzeczenia*, a drugi — to zaprzeczenie *okolicznika* w tym samym schemacie zdaniowym, w którym poprzednio zaprzeczono orzeczenie. W ten sposób zdanie jest istotnie obciążone dwiema negacjami, ale *nie* negacją negacji (71-72) i nie jakąś „negacją dwuznaczną” (?). A całe mówienie o „momencie aktywnym” jest albo emfatyczną mistyfikacją, albo efektownym złudzeniem („katarynka”).

Czytamy, że przysłowie okazało się „maszyną, która odpowiada” (73). Ale nie powiedziano, na czyje i jakie pytania, ani: skąd się wzięła i jak była motywowana intencja dewiacyjna, obecna jakoby w „historii dialogowej”. Przecież budowanie negacji nie jest budowaniem

⁹ D. Mercier: *Metafizyka ogólna*. (Bez nazwiska tłumacza). Warszawa 1902, s. 320.

¹⁰ W. S. Jevons: *Zasady nauki. Traktat o logice i metodzie naukowej*. Tłum. M. Chojnowski i B. J. Gawecki. Warszawa 1960, tom. I, s. 159, 202; tom II, s. 472-479, 489-490.

pytań. Z wywodu mogłoby wynikać, że próby stosowania norm językowych to tyle co pytania skierowane ku tym normom. Byłaby to niejaka antropomorfizacja problemu. Osobliwość tej niejasności skłania do szukania jej przypuszczalnej przyczyny. Może jest nią wieloznaczność słowa kwestionować, podawać w wątpliwość, pytać, przeczyć. Może właśnie na torze tej wieloznaczności utożsamiały się „dewiacyjnie” różne sensy: *pytać* i *przeczyć*. Ale język wieloznaczny karmić może jedynie fałszywe argumenty¹¹.

I ostatnia tu sprawa: ćwiczenia, które WG uważa za znamienne dla analizy przysłowia, są przecież do wykonania na tekście nieprzysłowiowym. Oto zdanie WG: „nie jesteśmy wolni od przesadnego lęku przed poruszeniem martwej litery” (70). O zdaniu tym powtarzam mniej więcej to, co WG mówił o przysłowiu (72-73), że negacja tworząca pierwszy moment dialogowy przejawia się wprost jako rozszczepienie na „być” i „nie być”, drugi zaś moment dialogowy ma aż dwojaką realizację (choć jednaką eksplicytność), a realizuje się za pośrednictwem „leksykalizacji” („martwe”, „przesadne”). Powierzchnowa (?) gramatyczność kamufluje istotną dewiacyjność opisanej w zdaniu sytuacji negatywnej itd., itd.

7. Maksyma i aforyzm

Efektowną mistyfikacją jest rozpoczęcie uwag o maksymie *aforyzmem* („Maksyma jest antyprzysłowiem”, 77), aforyzmem nieprawdziwym (bo wiele przysłów jest zarazem maksymami); a dowolnie zawężającym założeniem jest przyjmowanie dla maksymy indywidualnego autorstwa i postaci pisemnej. Nie jest prawdą, że maksymy są jedynie czytane (77). One są także, a może przede wszystkim, „wygłaszane”. I to też w określonych układach sytuacyjnych (wychowywanie, moralizowanie, ocenianie itp.). Maksyma zapisana nie przestaje być maksymą (jak zapisane przysłowie nie przestaje nim być w zapisie), ale nie dzięki zapisowi jest maksymą. A wszak na tym dowolnym założeniu oparł WG całe rozumowanie. Jest maksymą „*Divide et impera!*”, chociaż nie wiemy, kto to „pierwszy”, indywidualnie powiedział. Z arbitralnej tezy o „pisemności” maksymy wycofuje się częściowo WG (niewystarczającym) przyznaniem, iż maksyma funkcjonuje także w żywej rozmowie (80). Ale znów trzeba tu zaprzeczyć, by koniecznie musiała być „repliką”. Przecież maksyma może być bezdialogowym komentarzem do zdarzenia albo do stanu rzeczy, bez obecności współrozmówców. Przy tym sądzę, że mówienie, iż komentarz jest dialogiem ze zdarzeniem, wykolejałoby właściwy sens słowa „dialog”.

Nieprawda, że użycie maksymy powoduje dyskursywizację przedmiotu rozmowy (80). Chyba wręcz przeciwnie: sentencjonalizm mak-

¹¹ Mercier: *op. cit.*, s. 143.

symy paraliżuje dyskursywizację, a sprzyja swego rodzaju petryfikacji. Natomiast owa „ufilozoficzniająca” ogólność pełni raczej funkcję autorytatywizującą niż problematyzacyjną. Nieprawda, że maksyma musi być paradoksem, że musi uruchamiać schemat negacji, konstruować demaskujący przeciwjęzyk (78-39) i mieć intencję polemiczną. Maksymą jest poczciwe „Módl się i pracuj, a będziesz zbawiony”, lecz nie ma w nim żadnej z tych niezwykłości. W artykule WG wyraźnie objawia się przerost woli ekscentryzacji problemów, ale przecież wtedy conceptysta wypiera badacza. Łatwość konceptu cieszyłaby u *teoretyka* literatury, gdyby się sprzymierzyła z dyscypliną logiczną, a nawet — gdyby się jej podporządkowywała. I gdyby się liczyła z rzeczywistością badanego materiału.

WG mówi, że w genezie maksymy „kwestia czytelnika nie tylko będzie pierwsza (...), będzie też prostym początkiem, a nie pierwszym momentem dialogowym” (78). Zdanie jest niemal anakolutem, o treści raczej niejasnej niż subtelnej w owym odróżnieniu tego, co pierwsze od tego, co początkowe. Czy pierwsze to pierwsze w „dialogu”, a początkowe to „przeddialogowe”? Maksyma nie istnieje (podobnie jak przysłowie) poza własną formułą. Co więc istniałoby w tej fazie przeddialogowej, skoro formułę maksymy wprowadza dopiero dialog? Zresztą już mówiłem, że maksyma nie musi bynajmniej być „kwestią czytelniczą”. A samym pytaniem uwyraźnić chcę, że i tym razem nie chodzi o żadną „historię”, lecz o pewne semantyczne implikacje.

Nieskuteczne jest odróżnianie maksymy od aforyzmu w oparciu o rzekomą różnicę między redystrybucją a interwencją interpretacyjną (81). One obie prowadzą jednak do resemantyzacji. I nie ma tu wcale empiryczności ani ukonkretniania, jeśli nie jest ukonkretnieniem — mniejsza ogólność. Przeciwieństwem ogólności jest szczególność, a nie konkretność. Przecież aforyzm o „interesie” z łatwością daje się uprościć do maksymy będącej jego rdzeniem: „Warto mieć piękne złudzenia”. Od tej maksymy ów aforyzm różni się... elokwencją.

W maksymie dominuje *treść*, a nie „strona języka” (78). Użytkownik maksymy jest merytorystą, a nie słowiarzem. Moment konstruktywistyczny, przez WG przypisywany maksymie, właściwy jest raczej aforyzmowi. Właśnie aforyzmami są bardzo często *Maksymy* La Rochefoucauld¹². To aforyzm ma często sens demaskatorski, redeficyjny i rewolucyjny; jest kontrkonceptem, który odczytujemy przez rekonstruujące odwołanie się do zaprzeczonego odniesienia (79). Jest więc rodzajem sztucznej, polemicznej aluzji do przeświadczeń obiegowych. Jeśli mam słuszność, utrzymując, że maksyma nie buduje żadnego „przeciwjęzyka” ani kontrsemantyki, to rozważania

¹² Por. np. A. Bocheński: *Nienawiść i miłość La Rochefoucauld*. Warszawa 1962, s. 264—266. Ale zob. też G. Lanson, P. Tuffrau: *Historia literatury francuskiej w zarysie*. Tłum. W. Bieńkowska. Warszawa 1963, s. 178—182.

o aforyzmie tracą ustanowione przez WG odniesienie porównawcze. W dodatku to, co WG traktuje jako charakterystykę swoistości aforyzmu (konfrontacja z życiem, 81), odnosi się zapewne do każdego przysłowia. I to między przysłowiem a aforyzmem ustalałbym raczej tę różnicę anonimatu i autorstwa oraz różnicę ustności i pisemności. Jak to, co powiedziano o maksymie, odnosi się chyba trafniej do aforyzmu, tak z kolei to wszystko, co powiedziano o samym aforyzmie, albo jest powtórzeniem charakterystyki odniesionej wcześniej do maksymy, a także do przysłowia (negacja, dialogowe rozszczepienie semantyczne, reinterpretacja), albo odnosi się tylko do szczególnych przypadków aforyzmu (przewycięzanie prostoty, lapidaryzująca przenośnia, kolokwializacja). Znow zwróćmy uwagę że użyte trzy przykłady aforyzmu nie mają właściwie wspólnych momentów strukturalnych: opisowy i rozwlekły aforyzm o aforyzmie, zmetaforyzowany i lapidarny aforyzm o uporze, jawnie konstruujący swego wirtualnego adresata (Du-Aussage) aforyzm o pięknych złudzeniach. I ponad tym dysonansowym stanem rzeczy WG przechyla „*pustą karafkę*” i *wypełnia* swą wypowiedź opinią o gatunkowej konsonancji tych przykładów. Podobnym (ale znacznie większym) iluzjotwórstwem stanie się doczytanie się we własnym artykule przejrzystej „*typologii form prostych*”: dialog języka (przysłowie), dialog z językiem (maksyma), dialog obok języka (aforyzm, 82). Wcale nie wiadomo, jak autor otrzymał te trzy różne typy, chociaż wszędzie pasował ten sam stereotyp analityczny: podwójnej negacji. Byłaby to pseudoanaliza? Aprioryczny koncept?

Dopiero zresztą przy charakterystyce aforyzmu zdradza się zupełnie niezdecydowanie koncepcyjne WG. Okazuje się, że historię dialogową przypisuje się „*maszynnie*” dość dowolnie, że można ją przedstawić różnie; że w istocie nie ma progu różnicy interpretacyjnej między aforyzmem a maksymą (80—81). Niezdecydowanie wzmagą się już ku końcowi artykułu; jest oscylacją między opisem, przypuszczeniem a normą. Niejasna pozostaje sprawa języka. Czytamy: „*Maszyna dialogowa aforyzmu pracuje raczej na kontrastach stylizacyjnych niż na opozycjach gramatycznych, działa wewnątrz języka*” (81). Co autor właściwie rozumie przez język, skoro poza nim (jak wynika ze zdania) są momenty gramatyczne? Przecież jeżeli język-system przeciwstawić wypowiedzi-zdaniu, to gramatykę umieścić wypada po stronie języka, a stylistykę po stronie wypowiedzi. Zresztą WG już na stronie następnej (82) utrzymuje wspan, że dialog stylów dzieje się poza językiem, obok języka, a nawet — z „odsunięciem” języka w celu przybliżenia spraw przez język „zapomnianych”. Sprawy te są zagadką, a wywód jest beładny.

Nie „*język*”, a semantyka przeciwstawia upór (więc i wysiłek) słabości. Toż i WG mówi, że dzięki aforyzmom powstaje nowa „*konfiguracja tematyczna*” (81). Lepiej chyba: treściowa, znaczeniowa, pojęciowa. Wydaje się czasem, że WG przez język rozumie wszelki stereotyp kulturowy, w stosunku do którego w opozycji ustawia się wypowiedź przysłowiowa, „*maksymowa*”, aforystyczna (82). Jeśli

ten domysł jest trafny, to dziwić się trzeba uporowi komplikacjonistycznemu, który przecież się musi kończyć dewiacją („*Warum einfach...?*”). Wtedy „dialogiem” okazałoby się zajmowanie stanowiska wobec stereotypu, a „historią” — rozważenie logicznych możliwości (odmian) tego stanowiska. Wybór (i sformułowanie) tego stanowiska pokrywałby się funkcjonalnie z użyciem formuły wypowiedzi (użycia byłyby jej każdorazowymi reinterpretacjami i refunkcjonalizacjami).

8. Epilog

Jak scholastyk według jednego schematu rozpatruje „janowatość” Jana i „burkowatość” Burka¹³, tak WG wedle jednego schematu rozbiór pojęcia na jego elementy treściowe rozpatruje przysłowie (71) i opowiadanie (82—83). A ponieważ typ pytań przesądza typ odpowiedzi, staje się zrozumiałe, czemu charakterystyki poszczególne są właściwie takie same. One są zresztą takie same w chaotyczności: np. gdyby nawet chcieć przystać na autorskie rozumienie opowiadania, to znów wybierać trzeba między niezgodnościami, bo raz ono jest „udzielaniem odpowiedzi” (82), a raz „odroczeniem odpowiedzi” (83). Z tej niezgodności wynikałoby, że w pierwszym z określiń występuje liczba mnoga: opowiadanie to piętrzące się odpowiedzi, odraczające Odpowiedź. To jest kolejna przesada w postawieniu sprawy. *Całość* opowiadania jest Odpowiedzią i nie jest ona odraczana, ale procesualnie realizowana. Także i tym razem mamy do czynienia z sofizmatem indukcji¹⁴, uogólnieniem opartym na jedynym przykładzie (cytat z Hoffmanna); a nadto z traktowaniem elementu teoretycznego jako elementu realnego: elementem tym jest „pytanie”. Wyliczanych przez WG zbiorów pytań nie ma ani w przysłowiu, ani w opowiadaniu. Można co najwyżej powiedzieć, że to WG interpretuje przysłowie i opowiadanie tak, jak gdyby ich kształtowanie się warunkowały kolejne, określone pytania. Te „pytania” to tylko sposób, w jaki WG rozpatruje pewne teksty. To nie opowiadanie inscenizuje dialog, lecz interpretator opowiadania. To on jest „maszyną dialogową”, zaskapturzoną sekretami własnego teoretycznego wywodu. Będę w zgodzie z WG, kiedy powiem, że stereotypowi przeciwstawię „dewiacje” (metaforyzacja, przeczenie, innowacja). I dopiero teraz zadziwia fakt, że szukając *czystej* liryki, WG uchyla wszelkie „dewiacje” (83), czyli umieszcza lirykę po stronie stereotypu. Jeszcze dziwniejsze jest pseudomistyczne mówienie o liryce „jako o czystym słowie, rzecz można, nie użytym, lecz — po prostu istniejącym” (83). Wzruszający, irracjonalny anachronizm. A przecież, jak

¹³ Zob. np. A. B. Stępień: *Wprowadzenie do metafizyki*. Kraków 1964, s. 15, 59—60, 86—89, 92, 109—100.

¹⁴ M. Kowalewski: *Logika*. Poznań 1959, s. 278.

to odkrywczo powiedział o ks. Sawickim A. B. Stępień, irracjonalizm nie posiada racjonalnego uzasadnienia¹⁵. Liryka należy do literatury, która zawsze jest słowem *użyтым*, bo słowo społecznie istnieje jedynie w użyciu i dzięki użyciu. I tylko użyte może się rozszczepiać na stosunek między brzmieniem („cielesne zdarzenie wymówienia”) a sensami denotacyjnymi i konotacyjnymi, na stosunek między denotatem a konotatem, między słowem a kontekstem. Przecząc *użyciu*, WG inscenizuje „teatr słowa” (84), którego nie ma. Pod koniec artykułu WG dokonuje niebezpiecznej (a kolejnej) „identyfikacji lub, przynajmniej, zbliżenia” (77): semantyki, ideologii i etyki. Robi to w formułach tyleż podniosłych, co przenośnych i niejasnych (84). Ufa, że stworzył nowe szanse reinterpretacji „problemu ideologicznej produktywności tekstu”, że to dopiero on zde-maskował właściwą tekstowi rozbieżność między deklaracją a praktyką rzeczywistego oddziaływania na odbiorcę. Raz mówi o tekście, że jest on zdarzeniem *wewnętrznym* dyskursu czytelniczego, to znów, że tekst jest podmiotem oddziałującym, a przedmiotem (chyba zewnętrznym) oddziaływania interwencyjnego jest dyskurs odbiorcy tekstu. Zupełnie nie wiadomo, po której stronie umieszczono tu moment inicjatywy, czy chociaż jej przewagi. Ale przynajmniej jedna z odmianek tego chaosu utrzymuje, że to nie czytelnik odpowiada za swoją wolność, lecz tekst za wolność czytelnika. Skoro za wolność, to i za zniewolenie. Za taką opinią czai się normatywistyczna, przez etyzm kształtowana i kontrolowana, dziwnie egzystencjalizująca koncepcja literatury. Koncepcja ta, tworzona z pozoru w pozycji odbiorcy-czytelnika, jest w rzeczywistości (uwarunkowana przez pasywistyczną teorię podmiotu odbiorczego) koncepcją manipulowania odbiorcą przy pomocy literatury, przejmującej na siebie odpowiedzialność za czytelniczną wolność; koncepcja — dopowiedzmy — sprzeczna z wymową wszystkich użytych w artykule przykładów ukazujących właśnie ważność i skuteczność odbiorczych przedsięwzięć modyfikowania sensu i roli użytego, zakrzepłego (jako formuła) wyrażenia.

Rozpięcie zainteresowań między semiotyką a etyką wyjaśnia obojętność WG na *artystyczną* „indywidualność tekstu” (85). Przedmiotnik ten, użyty chyba raz jeden tylko, w przedostatnim zdaniu artykułu, użyty został zupełnie bez związku z charakterem całości artykułu i doprawdy zaskakuje to u autora, który gotów jest uprawiać teoretycznoliteracką lirykę na temat „róży”. Co więcej: budzą się zasadnicze podejrzenia, czy we współzawodnictwie między dezindywidualizmem semiotyki a personalizmem etyki ta ostatnia z góry nie jest skazana na przegraną. Podejrzenie takie opiera się na przypuszczeniu, że ten, komu jest szczerze obojętna indywidualność tekstu, nie może skutecznie bronić indywidualności czytelnika. „Czytelnik” wyznaczony przez „interwencje” tekstu okazuje się typem, a nawet tylko modelem czytelnika. A wtedy powiedzieć, że

¹⁵ Stępień: *op. cit.*, s. 75.

tekst jest odpowiedzialny za wolność czytelnika to tyle, co powiedzieć, że np. aktor z teatru lalek jest odpowiedzialny za wolność swych pacynek. Etyka odsłania swe retoryczne dno, a problem etyczny wypada „z ram” (85) dialogu z tekstem. Taka oto jest granica „przemiany podmiotów”.

I na jeden jeszcze sposób wyrażmy zaprzeczenie. Pisze Jerzy Ziomek, że „na osobowość aktora składa się historia jego poczynań scenicznych”¹⁶. Powiem akurat podobnie: miarą indywidualności tekstu jest jego zdolność do uczestniczenia w wielu (prowadzonych przez użytkownika!) „grach”, czyli wielointerpretacyjność. Alternatywa Barthesa nie jest konieczna, a może jest arbitralna i fałszywa. Tekst naukowy, co zrozumiałe, do takiej indywidualności dążyć nie powinien. Tylko że, przebijając się przez niekonsekwencje i niejasności artykułu, należy wyrazić przypuszczenie, iż podmiotowi mówiącemu tego artykułu obca być musi z wielu przyczyn jednocześnie (etyzm, antropologizm, semiologizm) idea autonomii i autotelizmu literatury, a nawet przedmiotowej odrębności teorii literatury, podlegającej programowemu włączeniu do „szerszej problematyki antropologicznej”, ku której (*ex absurdo sequitur quodlibet*) wiedzie doktryna literackiego maszynoznawstwa: „piramida wśród rzeczy” (69-70).

Stanisław Dąbrowski

Oświecenie jako całość znacząca

Teresa Kostkiewiczowa: *Klasycyzm, sentymentalizm, rokoko. Szkice o prądach literackich polskiego Oświecenia*. Warszawa 1975 PWN, ss. 480.

I

Jednym z najczęściej powtarzanych zarzutów wobec metod strukturalistycznych w nauce o literaturze bywa zarzut ahistoryzmu wiązany z przekonaniem o ich rzekomej bezradności w stosunku do problematyki historycznoliterackiej. Wysiłki zmierzające do uchylenia tego zarzutu, który, przyznać trzeba, nie był całkowicie bezpodstawny, podjęli w ostatnich latach właśnie polscy teoretycy literatury.

Przygotowano więc narzędzia badawcze, przyszedł czas na sprawdzenie ich przydatności w konkretnym materiale. Próba taką, powiedzmy to od razu, próbą bardzo udaną, jest ostatnia książka Te-

¹⁶ J. Ziomek: *Semiotyczne problemy sztuki teatru*. „Teksty” 1976 nr 2, s. 27.